

### III

## Wokół domu

## Próba powrotu

Jakżeż to? Dlaczego pierwsze obrazy, jakie wylaniają się z tamtych najdalszych lat, są tragiczne w wymowie? Dlaczego te wspomnienia najbliższe urodzin mają związek ze śmiercią?

A więc słoneczne popołudnie wiosenne. Któraś z trzech moich sióstr stawia mnie na parapecie okiennym w kuchni (doskonale pamiętam, że to było właśnie w kuchni), trzymając mnie pod pachami. Zjawia się w mej pamięci cudowna uroda świata, ujrzana z trzeciego piętra kamienicy. Pode mną sięgające drugiego piętra rozłożyste konary wiązów, których gałązki puszczaają liście, rosnące jakby w oczach. Oszalała świeżość młodziutkiej, delikatnej zieleni, a pod nią perspektywa szerokiej ulicy Głogowskiej, której środkiem biegną dwie pary szyn tramwajowych. Na rozległych chodnikach bawią się dzieci. Oślepiająca jasność nieba, zapach świeżego powietrza. W głąb tej perspektywy biegnie śliczna, asfaltowana ulica Spokojna, a w bok od niej widać kawałek nie przesłoniętej narożnym domem ulicy Klonowicza, wille w ogrodach. Zachłystuję się radością, zaczynam podskakiwać na oknie, lecz trzymany mocno przez siostrę, podryguję

tylko w kolanach. Ona ściska mnie coraz mocniej, obejmuje mnie całego, wzdycha: „Jezu!” Dziś rozumiem, dlaczego tak westchnęła. Uświadomiła sobie, że urzeczony głębokim i szerokim przestworzem cudnego świata, skoczyłbym na pewno z wysokości trzeciego piętra prosto w jego ramiona, w ramiona wczesnej śmierci. I dziś aż mi żal tamtej śmierci nie spełnionej. Jak dobrze byłoby umierać z takim widokiem przed oczyma i z takimi uczuciami w sercu, zamiast mrzeć w szpitalu lub w bezradnym upadku na ulicy, co mnie przecież czeka.

Lecz zaraz widzę i śmierć spełnioną. To samo okno i też westchnienie: „Jezu!”. Tym razem od otwartego okna bije chłód, jest zima. Ulica Głogowska wypełniona po brzegi przeogromnym tłumem. Środkiem jezdni sunie szereg trumien, zarzuconych wieńcami i wiązkami kwiatów.

— Ta pierwsza to Franciszka Ratajczaka!

Pamiętam, że było to dokładnie tak powiedziane, choć wtedy nic nie rozumiałem, tak jak nie rozumiałem nic o powstaniu wielkopolskim. Wiedziałem tylko, że trumny zmierzają ulicą Głogowską ze śródmieścia na odległy cmentarz górczyński.

Lecz poza tym, że zabito trochę ludzi, kwitła sama radość z „wybuchu Polski”. Był u nas w domu bardzo długi okres oszołomienia wolnością tak szczerego i intensywnego, że nie zapomnę go do końca swych dni. A namacalnym śladem tej radości jest pewna pamiątka, wklejona do jednego z albumów, założonych w toku moich badań rodzinnych. Otóż jest to czterostronicowa ulotka. Na pierwszej stronie czarnym i czerwonym drukiem wybito z polskim orłem pośrodku następujący tekst: „Pieśni narodowe — Boże coś Polskę, Z dymem pożarów, Boże Ojcze — wydanie wojenne roku 1917 — Nakładem Księgarni W. Sobierajskiej,



Dom rodzinny autora w Poznaniu, ul. Głogowska 69

Poznań”. Wewnątrz znajdują się pełne teksty wymienionych pieśni.

Jest to najmilsza z moich pamiątek. Gdy miałem trzy lata, pieśni te śpiewano z takim przejęciem, z jakim nikt już nigdy ich nie zaśpiewa.

Sygnal „dzieciństwo” wyzwala we mnie kilka za każdym razem innych, lecz w podobnej scenerii dziejących się obrazów: podwórze, sień, pokój, kuchnia,

ulica Głogowska, łąka, może jeszcze park (wtedy ogród botaniczny) i pola wokół Łazarza. Ale właściwie cała moja inicjacja odbyła się na podwórzu. Chyba przede wszystkim tam kształtowały się moje więzi społeczne. Często nie wolno było wyprawiać się na pola, ba, bywały zakazy wyjścia na pobliską łąkę, podwórze, ostatecznie prawie zawsze dało się wyżebrać. Wystarczyło przecież, by w razie potrzeby mama wyszła do sieni i już przez okno, mając mnie na oku, mogła zawołać: Leonard, do domu!

Niekiedy, będąc w Poznaniu, idę do mego rodzinnego domu przy ulicy Głogowskiej 69. Oglądam z zewnątrz tę obskurną rudere, dziś już chyba najskromniejszą, najbrzydszą w całej okolicy. Wchodzę do ohydneho wnętrza, odrapanego i brudnego. Mam ochotę iść po schodach i zaglądać do znanych mi mieszkań, ale zajmują je przeważnie obcy ludzie, a przecież i tych dawnych znajomych nie ma co odwiedzać. O czym bym z nimi rozmawiał, kiedy nasze życia się rozminęły. Raz na parę lat wchodzę tylko do Czarneckich, wstąpiłem do Waligórskich, raz do starej Wolniewiczowej, która straciła pamięć ze starości, kiedy indziej do Stawskich.

Odwiedzam ten dom raz na parę lat. I wtedy śmielej wchodzę na podwórze, do ciasnej, obskurnej studni, leżącej poniżej poziomu ulicy, bo schodzi się na nie po kilku ceglanych stopniach, niemożliwie wydeptanych. Patrzą na obtłuczone tynki trzech oficyn i na piętrowy domek, zajmujący czwarty bok kwadratu. Nad domkiem wznosi się brzydka, ślepa ściana — tylna ściana oficyny sąsiedniego podwórza.

Ten kompleks ruder stanowił raj mojego dzieciństwa. Gdy w tej chwili przymykam oczy, przesuwają się przed nimi różne strzępki obrazów — niewyraźne, niekompletne, wichrzące się, jak gdyby naszkicowane na rozłazących się po niebie chmurach.

